

# Józef Borzyszkowski

---

## Marzec '68 w środowisku Klubu "Pomorania" i Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego w Gdańsku

---

Acta Cassubiana 10, 221-226

---

2008

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

**Józef Borzyszkowski**

## **Marzec '68 w środowisku Klubu „Pomorania” i Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego w Gdańsku**

Klub „Pomorania” powstał w 1962 roku jako klub młodej inteligencji kaszubsko-pomorskiej, skupionej w Zrzeszeniu Kaszubskim, współdziałającej z redakcją dwutygodnika „Kaszëbë”, wydającą dodatek literacko-naukowy „Pomorania”. Początkowo liczył kilkanaście osób, a jego pierwszym prezesem był Lech Bądkowski – *spiritus movens* całego przedsięwzięcia, mającego dostarczyć Zrzeszeniu kadry młodych działaczy – świadomych celów, wyzwań i możliwości. Mówiono potocznie, iż ma to być podchorążówka Zrzeszenia. Stąd główny nacisk położono na samokształcenie w zakresie historii, kultury i współczesności Kaszub i Pomorza.

Początki Klubu nie były łatwe, a po kilku latach jego żywotność była dość symboliczna.

Do Zrzeszenia – już od 1964 roku Kaszubsko-Pomorskiego i Klubu trafiłem samodzielnie w 1965 roku – w pierwszym roku moich studiów na WSP – na jedno ze spotkań organizowanych w Ratuszu Staromiejskim. Po spotkaniu podszedł do mnie mgr inż. Wojciech Kiedrowski, ówczesny prezes „Pomorania”, proponując wejście do Klubu. Wśród jego członków jedyną studentką była wówczas Grażyna Trzos z Sopotu (dziś obywatelka Kanady), studiująca ekonomię na Wyższej Szkole Ekonomicznej w swoim rodzinnym mieście. Jej obecność w Zrzeszeniu i Klubie była głównie zasługą matki, Anieli ze Skwierawskich Trzosowej, która bardzo cieszyła się z mojego zaistnienia w kaszubsko-pomorskim światku. Jeśli dobrze pamiętam, ówczesne spotkania klubowe miały w dużej mierze charakter przyjacielsko-prywatny. Klubowi z ramienia Zarządu Głównego ZK-P patronował wiceprezes, mgr Bernard Kula. Dobrą duszą Klubu była mgr Regina Grzenkowicz, pracująca w Instytucie Maszyn Przepływowych PAN przy Politechnice Gdańskiej. Prezes Wojciech Kiedrowski chyba w końcu 1965 roku doprowadził do kilku-osobowego spotkania w mieszkaniu B. Kuli, podczas którego przekazano mi, nieco mało formalnie, przewodnictwo w Klubie. Wspólnie, głównie z Wojciechem

i Reginą – zastępcą prezesa ożywiłmy działalność klubową, organizując spotkania samokształceniowe z liderami Zrzeszenia, spotkania autorskie pisarzy kaszubsko-pomorskich, wieczory poezji kaszubskiej, wyjazdy w teren – wanogi itp. Rychło grono członków klubu zdominowali studenci, głównie Wyższej Szkoły Pedagogicznej, ale również Wyższej Szkoły Ekonomicznej i Politechniki Gdańskiej, tworząc środowisko liczące kilkadziesiąt osób. Najbliżsi obok Reginy i Wojtka byli dla mnie koledzy z pokoju w akademiku w Brzeźnie – historycy – Janusz Lewandowski z Brodnicy nad Drwęcą i Wiesio Zieniewski z Zieni, pow. Łosice na Podlasiu oraz Halina Richter z Orłowa – koleżanka jeszcze z Liceum Pedagogicznego w Kościerzynie, studentka filologii rosyjskiej, która z kolei przyciągnęła dalsze osoby...

Był wśród nas Andrzej Szczepański, student filologii polskiej i grono towarzyszących mu przyjaciół i przyjaciółek – nie tylko z Kościerzyny czy Gdańska rodem.

Już w 1967 roku zrealizowaliśmy ideę Wojtka i Lecha, który nam wiecznie towarzyszył, ustanowienia i przyznania Medalu Stolema. Uroczystość wręczania była zawsze kolejną okazją do zbliżenia młodych z doświadczonymi działaczami regionu i twórcami nie tylko literatury. Dzięki Lechowi byliśmy wtajemniczeni w ówczesne jego i bliskich mu przyjaciół działania opozycyjne, szczególnie w środowisku literackim. Niemniej kontakty z Izabellą Trojanowską i Domem Prasy, gdzie odbywały się także nasze spotkania, dawały szerszą orientację w lokalno-regionalnej polityce realiów; Białego Domu nie wykluczając. Był to czas wielkiego sukcesu teatralnego w Gdańsku, wystawienia przez Teatr „Wybrzeże” anonimowej XVII-wiecznej *Tragedii o bogaczu i Łazarzu* w opracowaniu literackim Róży Ostrowskiej, reżyserii Tadeusza Minca, ze scenografią mistrza Mariana Kołodzieja. (Premiery studenckie w gdańskim teatrze i popremierowe dyskusje widzów z twórcami spektaklu stanowiły wówczas olbrzymie przeżycie, wspaniałą szkołę aktywnego uczestnictwa w życiu kulturalnym miasta i Polski). W Klubie „Pomorania” mieliśmy, dzięki Lechowi i Róży, nieco lepszą orientację także w tym, co nurtowało ówczesne środowiska literackie w całym kraju, a co doprowadziło do Marca 1968 roku.

Tu, w Gdańsku, Lech Bądkowski, Róża Ostrowska, Franciszek Fenikowski... stali się pierwszymi i jedynymi chyba wyrazicielami gdańsko-pomorskiej solidarności ze zmaganiem środowiska ZLP w Warszawie. Ich solidarność z deklaracją warszawską przeciw antysemickim i antystudenckim wydarzeniom w stolicy sprawiła, że stali się głównym obiektem ataku komunistycznej władzy w Gdańsku...

W gdańskich wydarzeniach marcowych przodowali studenci Politechniki Gdańskiej. Brałem w nich skromny udział jako jeden z tysięcy uczestników manifestacji we Wrzeszczu na PG, jak i chyba w nie mniej licznej w „Żaku”, dokąd dotarliśmy na piechotę. To wówczas zapoznaliśmy się po raz pierwszy z reżimową działalnością ORMO i MO, wspieranymi przez niby oburzonych robotników.

Klub „Pomorania” był wówczas oczkiem w głowie nie tylko Lecha Bądkowskiego, ale i ówczesnego prezesa Zarządu Głównego ZK-P, wiceprzewodniczącego WRN w Gdańsku, Bernarda Szczęsnego. Tak się złożyło, że od kilku tygodni czekałem wówczas na miejsce w szpitalu – operację przepukliny. Jeśli dobrze pamiętam, już następnego dnia po kulminacyjnej manifestacji w „Żaku” zostałem powiadomiony, że mam się stawić natychmiast w Szpitalu Wojewódzkim im. M. Kopernika na zabieg, co też uczyniłem. Rychło domyśliłem się, że była to robota Szczęsnego, który w ten sposób, unieruchamiając mnie w szpitalu, chciał ustrzec „Pomoranię” przed bezpośrednią obecnością w wydarzeniach marcowych. Potwierdził to zresztą podczas któryś odwiedzin w szpitalu.

Jako pacjent Szpitala Wojewódzkiego i zarazem student przyjęty po głośnych wypadkach, leżąc blisko centrum miasta i „Żaka”, byłem codziennie odwiedzany przez kolegów i przyjaciół, głównie Pomorańców z różnych uczelni. Zwykle popołudniową porą przez kilka dni przy moim łóżku, były maleńkie zgromadzenia, tolerowane przez personel szpitala, których uczestnicy z przejęciem i studenckim humorem relacjonowali różne wypadki z gdańskich uczelni i miasta. Byli tym zainteresowani także lekarze, mający wśród pacjentów nie tylko takich jak ja, uczestników wydarzeń tamtych dni, także autentycznie poszkodowanych przez milicję. Po latach uświadomiłem sobie, że była to zapowiedź tego, co działo się w Gdańsku i w naszych szpitalach w grudniu 1970 roku i w stanie wojennym, kiedy to w tym samym centrum zdrowia odwiedzaliśmy chorego Lecha Bądkowskiego, będącego pod opieką prof. Joanny Muszkowskiej-Pensonowej, której mąż był jednym z prześladowanych w 1968 roku.

Osobnym niejako nurtem toczyły się wówczas wypadki na poszczególnych uczelniach. Szczególnie głośno dyskutowane były zebrania partyjne, na których potępiano naszych „syjonistów”, pozbawiając ich często pracy. U nas na WSP ofiarami ówczesnej nagonki stali się m.in. szef naszego Studium Wojskowego, szanowny przez studentów, płk Adam Goliger i prof. Romana Müllera, wybitny pedagog, jak i prof. Irena Szumilewicz, której syn był studentem historii – rok wyżej ode mnie, zaprzyjaźnionym z moimi kolegami z akademika i znanym choćby ze Studium Wojskowego. Z przykrością stwierdzam dziś, że te antysemityczne decyzje władz partyjno-uczelnianych nie wywołały już – poza współczuciem – żadnej konkretnej reakcji w świecie akademickim.

Antysemityzm dawał o sobie znać wówczas i później w przeróżny, niekiedy nieuświadomiony sposób. Nie tylko o Róży Ostrowskiej, choćby z tytułu jej niepowtarzalnej urody i inteligencji, szeptano po kątach, że to Żydówka; także w kaszubskich i kościelnych kręgach. (Mnie samego w terenie, odwiedzającego kaszubskie domy, jeszcze po latach, zwłaszcza gdy od 1976 r. zaczął chodzić z czarną brodą, brano za starszego brata w wierze...). Na uczelni antysemityzm i nacjonalizm w gomułkowsko-moczarskim wydaniu zaowocował m.in. – także wśród humanistów – „marcowymi docentami” i ... szeptaną satyrą. Tę ostatnią uprawia-

liśmy także w Chórze Akademickim WSP, z którym odwiedziłem niejedną zakątek województwa, a nawet raz, chyba przed wyjazdem do Szwecji, uczestniczyłem w pochodzie pierwszomajowym, śpiewając „Pieśń hunwejbiniów” na znaną partyzancką, więc mile przyjmowaną nawet na trybunach, nutę. Niemniej wolne myśli towarzyszyły nam w duszpasterstwie akademickim oo. jezuitów we Wrzeszczu przy ul. Mickiewicza. Ale nie zawsze było miło i wesoło.

Muszę jednak przyznać, że po części mam także miłe wspomnienia z obozu wojskowego w Grudziądzu, gdzie po festiwalu opolskim – niejako na bieżąco – jeden z kolegów ułożył nowe słowa do melodii nagrodzonych pieśni, m.in. z myślą o naszej interwencji w Czechosłowacji... Śpiewaliśmy dość powszechnie z wisielczym humorem:

*Partia żołnierzom nie skłamię, chociaż nie wszystko im powie.*

*Żołnierz zarzuci broń na ramię, reszty na miejscu się dowie.*

*Ref. Wstęgą szos, miedzą pól złożonych przez szlabanów gęsty las.*

*Do tej Pra..., do tej Pragi Złotej, skoro przyszedł na to czas...*

Podobny repertuar studenckich pieśni towarzyszył nam wówczas na rajdach studenckich, z których jeden ogólnopolski – nazywał się Kaszubskim, jak i podczas wanóg i spotkań w „Pomoraniu”, czy w gronie rodzinno-przyjacielskim, kiedy to naśladowano również z powodzeniem, choćby Hubert Lewna, przemówienia Władysława Gomułki, stojącego wraz z krajem przed II wojną nad przepaścią... , czyniącego wówczas zdecydowany krok naprzód... (Chciałbym dziś coś podobnego zobaczyć u studentów, jednakże to już nie te czasy...).

Bezpośrednią kontynuacją Marca '68 było to, co działo się w Gdańsku i w Klubie „Pomorania” w następnych miesiącach, latach. Róża Ostrowska została wyrzucona z pracy w teatrze. Lecha Bądkowskiego i innych pozbawiono możliwości obecności w mediach, publikowania nie tylko na łamach prasy, zapraszania na spotkania autorskie itp. Praktycznie pozbawiono ich środków do życia i możliwości obrony przed oszczerstwami i paszkwilami usłużnych wobec władzy kolegów dziennikarzy-literatów. Oboje funkcjonowali normalnie jedynie w środowisku przyjaciół i w ZK-P.

Wówczas też, w styczniu 1969 roku, decydując w Klubie o wyborze dorocznych laureatów Medalu Stolema, przyznaliśmy go za rok 1968, trójcy głównych realizatorów przedstawienia *Tragedia o bogaczu i Łazarzu*, która nie tylko ze względu na kaszubskie intermedia cieszyła się powszechnym uznaniem i wielkim powodzeniem. Wraz z nimi – Różą Ostrowską, Marianem Kołodziejem i Tadeuszem Mincem – do grona Stolemowców powołaliśmy wtedy:

- Tadeusza Bolduana za całokształt pracy publicystycznej,
- dr. Józefa Bruskiego z Lipnicy na Gochach za popularyzację kaszubszczyzny,
- dr. Ryszarda Kukiera z Torunia za monografię *Kaszubi bytowscy*,

- dr. Frido Metška z Budziszyna za tłumaczenia poezji kaszubskiej na język łużycki.

Przygotowania do uroczystości wręczenia Medalu, jaka miała się odbyć w Ratuszu Staromiejskim, szły normalną drogą. Przez cenzurę przeszedł tekst zaproszeń; wszystko było dopięte niemal na ostatni guzik. (Byłem wówczas, od listopada poprzedniego roku także prezesem Oddziału Gdańskiego ZK-P, którego członków zapraszaliśmy z reguły na otwarte imprezy „Pomorani”).

Już pod koniec lutego wysłane zostały zaproszenia na uroczystość wręczenia Medalu Stolema, która miała się odbyć 18 marca 1969 roku. W części artystycznej zapowiedziano występy zespołów „Kaszubia” z Kielna i „Bazuny” z Chojnic. Drukowane zaproszenia, opatrzone numerem zezwolenia cenzury (273 I. z – 14/46/69), poszły w świat, a któreś z nich dotarło na jakieś biurko w KW PZPR i... wybuchła afera.

Zarządowi Głównemu ZK-P i Prezesowi Bernardowi Szczęsnemu zakazano dalszego rozsyłania zaproszeń i nakazano odwołanie uroczystości! Rozpoczęły się rozmowy i konsultacje, w których uczestniczyli obok członków Zarządu Klubu Bernard Szczęsny (przyjechał nawet do nas do akademika na Polanki), Lech Bądkowski, Izabella Trojanowska i sama Róża Ostrowska. Znalaziono kompromisowe wyjście, zaakceptowane przez KW dzięki zabiegom Szczęsnego. Uroczystość ostatecznie mogła się odbyć pod warunkiem, że nie będzie wymieniana Róża Ostrowska jako indywidualna laureatka. Ze zrozumieniem przyjęto to wyjście; jedynie kolega W.K. był oburzony kompromisem.

Uroczystość odbyła się zgodnie z programem. Oficjalnie w imieniu realizatorów *Tragedii* Medal odebrał dyrektor Teatru „Wybrzeże” Tadeusz Minc. Róża otrzymała go tego dnia również, a nieobecny Marian Kołodziej przy innej okazji. Jedynie w informacjach na łamach prasy zaistniała owa bezosobowa formuła. W czasie oficjalnej i nieoficjalnej uroczystości główną bohaterką była jednak Róża Ostrowska, ciesząca się z wyróżnienia i spotkania, kpiąca z „mądrości” ówczesnych partyjnych władz województwa. Skutek ich działania był wręcz odwrotny.

Dokumentem, bardzo miłym, z tej uroczystości są fotografie i wpisy w Kronice Klubu „Pomorania”. Róża Ostrowska napisała w niej następująco:

„Zobowiązanie

My, zespół realizatorów »Tragedii o bogaczu i Łazarzu« zobowiązujemy się niniejszym zrealizować – w czasie bliżej nieokreślonym – »Tragedię o trzech Łazarzach«, gdańską sztukę anonimową z drugiej połowy XX w.

Za zespół i budynek Teatru »Wybrzeże« . Róża Ostrowska, Tadeusz Minc”.

Tadeusz Bolduan nieco niżej napisał:

„Bez zobowiązania

Dziękuję za »Stolema« – odznaczenie wysokie nie na miarę Nobla, ale na pewno cenniejsze, bo przyznane przez ludzi młodych, odważnych i ambitnych, wiedzących, ku czemu zmierzają. Dziękuję z całego serca. T. Bolduan”.

Oba wpisy bardzo miłe, a zobowiązanie T. Minca i R. Ostrowskiej nadal aktualne; zadanie to niekoniecznie dla anonima. Bez wątpienia w tamtych latach i wydarzeniach tkwią również korzenie gdańskich sukcesów współczesności.

Tak się złożyło, że moją pamięć o wydarzeniach z Marca '68 i ich następstwa, zdominowały wspomnienia związane głównie z gdańskim środowiskiem literackim. Bez Bądkowskiego i ludzi z nim związanych, borykających się z PRL-owską rzeczywistością głównie w środowisku Związku Literatów Polskich i Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego, ale zawsze blisko zainteresowanych tym, co działo się na uczelniach – wśród ludzi nauki i studenckiej młodzieży, obraz Marca '68 jest fałszywy. Z tamtego grona pisarzy – przyjaciół Lecha, żyje dziś jedynie niepowtarzalny poeta Zbigniew Szymański. Jemu też z najlepszymi życzeniami dedykuję niniejsze wspomnienie, pamiętając, że Lechu uczył nas także dialogu i kompromisów, nieprzekreślających fundamentalnych wartości – uczciwości, rzetelności, bezinteresowności... w polityce – pracy społecznej.